

Splagiatować, zdać, zapomnieć czyli nowa mantra zdemokratyzowanej edukacji

Sesja, sesja, i po sesji. Z racji wykonywanego zawodu niejednokrotnie mam okazję wymieniać doświadczenia z kolegami po fachu odnośnie panoszącej się wokoło plagi plagiatów. Wnioski z tego płynące są bolesne. Przede wszystkim okazuje się, że jednym z bardziej liczących się kryteriów przy ocenie pracy pisemnej jest już sam stopień jej samodzielnego wykonania. Nieważne, że stylistyka kuleje, że szyk koślawy, że ortografia stosowana na słowo honoru, że taki czy inny błąd wychynął stąd czy zowąd. W opinii kolegów z branży, te niedoskonałości, paradoksalnie, świadczą zaczęły na korzyść studenta. Stały się świadectwem jego mozołu i woli, ba, jego charakteru. Solidny człowiek! A zatem, konstytutywny warunek pracy – wykonanie jej – sam staje się już warunkiem jej pozytywnej oceny. Zupełnie tak, jak gdyby rzeźbiarza oceniać za fakt stosowania dłuta, a nie za poziom dzieła. Doszliśmy do punktu, kiedy to oceniamy za chęci, nie za efekty. Po drugie, gdy – jak to mawiamy w belferskim żargonie – student zanadto „łapie flow” są już podstawy, by to i owo przelustrować w przeglądarkach i innych bazach „gotowców”. I w tej niezawodnej, na ogół ostatecznej, przystani ów słowotok brnie na mielizny. Żniwo plagiatów, jak co roku, tak na uczelniach państwowych, jak i prywatnych, okazuje się przerażające, choć nadal jest ono daleko mniejsze aniżeli plaga, jaka panoszy się na uczelniach amerykańskich. Tam ilość plagiatów dochodzi nawet do 50%. Nie znaczy to niestety, że na polskim gruncie są podstawy do optymizmu.

W opiniach niektórych myślicieli i komentatorów obecny stan rzeczy to rezultat upowszechniającej się tzw. kultury kopiuj-wklej. Argumentacja, towarzysząca tego rodzaju utyskiwaniu nie zmienia się od dłuższego czasu: oto żyjemy w czasach postmoderny, kiedy to kultura zjada swój ogon, na okrągło zapożycza, parodiuje, cytuje, przetwarza. Ilość oryginałów została wyczerpana, nastał czas nawiązań i kopii, wszędobylskich symulaków *et caetera*... Dalej, ta kulturowa rewolucja wpływa rzecz jasna również na wszystkich uczestników kultury, zmieniając sposób ich myślenia i rozumienia rzeczywistości, niestrudzenie wpajając, że wszystko już było, że tak zwana wiedza (w tym i nauka) to nic więcej niż konstrukt społeczny, wielokrotnie przetwarzany i przeinterpretowywany... Sztuka tym bardziej – czym byłaby bez zapożyczeń? Współcześnie, istota hip-hopu, ale też jazzu, housu i disco, zasadzają się właśnie na ponownym przetwarzaniu tego co już było. Remiks – pisze William Gibson, guru cyberpunkowej literatury – to istota epoki cyfrowej. Jeszcze dalej idzie Dan Gillmor, jeden z najbardziej znanych tzw. dziennikarzy obywatelskich (*de facto* nadaktywnych i świecących przykładem obywatelskiego zaangażowania blogerów), według którego informacja winna mieć formę nie tyle twierdzenia, ile rozmowy. Informacje – przynajmniej jego zdaniem – tworzone są w procesie interakcji określonych środowisk. Same w sobie nie istnieją i nie mają sensu.

Czy można zatem dłużej dziwić się, że pojęcie autora i odbiorcy dzieła, tekstu, komunikatu, zaczyna powoli się zacierać i mieszać? Plagiat – chciałby się rzec – to pokrętny, ale mimo wszystko, znak nowych czasów a każda informacja ma tyluż autorów, ilu odbiorców. Daleki jestem od wciskania w usta wszystkim prorokom ery

copy-paste jakiegokolwiek usprawiedliwienia dla plagiatu. Stosując tę retorykę można by raczej rzecz, że plagiat to mroczna strona owej epoki, produkt niepożądany, ale mimo wszystko nieunikniony, rezultat katalizy klimatu kulturalnego, w którego krajobraz zapożyczenie wpisało się na stałe, ale także nowoczesnych mediów, które stosowanie techniki wycinania i wklejania uczyniły możliwym dla komunikujących się na potęgę mas. Jak postaram się wskazać poniżej, tego typu ujmowanie zjawiska, które z całą mocą ujawnia się z każdą sesją i egzaminem, stanowi tylko jedną stronę medalu. Do listy przyczyn upowszechnienia się plagiatu można dopisać jeszcze kolejne, nieco mniej politycznie poprawne (kultura kopiuj-wklej temu haniebnemu bądź co bądź procederowi może przydawać pewne znamiona interesującego wykwitnięcia zachodniej umysłowości. Przyczyny mogą być jednak znacznie bardziej prozaiczne i mniej przyjemne do nazywania).

Trudno powiedzieć, kto jest twórcą tego chwytliwego określenia, nie ulega jednak wątpliwości, że pewne podstawy analizy tego nowego tworu nakreślił Henry Jenkins w swojej „Kulturze konwergencji”. Szczegółowo omówił tam m.in. pojęcie dzieła transmedialnego, czyli opowieści snutej w różnych medialnych modalnościach: to w grach, to w kinie, to w telewizji, to w Internecie... Dzieło to jest czymś na kształt multimedialnego, zwielokrotnionego cytatu. Im więcej takich multimedialnych cytatów, tym większą dzieło ma szansę – jak wieścił Umberto Eco – by wkrótce przeistoczyć się w produkt kultowy. Przykładowo „Matrix” uważane jest za dzieło kultowe właśnie z tego powodu, że każdy miał tam okazję znaleźć coś dla siebie: motyw Chrystusa, symulakry i przetworzony postmodernistycznie platonizm, filozofia buddyjska dla opornych, wschodnie sztuki walki, wyrocznie, totalitaryzmy, cyberpunk, romans, miłosny trójkąt, motyw zdrajcy, czy wręcz Judasza, zmartwychwstanie i ożywiający pocałunek, i tak w nieskończoność. Jenkins, przytaczając zresztą słowa samych braci Wachowskich, wskazuje, że opowieść ta jest praktycznie niemożliwa do pełnego odczytania ze względu na jedyne w swoim rodzaju nagromadzenie symboliki dosłownie w każdej scenie. Fakty mówią same za siebie: zapożyczenie i cytat to drugie imię postmodernistycznej popkultury. Indywidualna twórczość karmi się dostępnym materiałem i stąd popularność tzw. kultury kopiuj-wklej, której to smutnym świadectwem stają się również plagiaty. To – obawiam się – jedynie wersja oficjalna, politycznie poprawna, która wprawdzie potępia, jednak nie stygmatyzuje.

By dookreślić spektrum przyczyn popularności tej formy zaliczania egzaminu warto posilić się nie tylko Henrym Jenkinsem, ale wspomnieć i nazwisko innego klasyka, Gaussa, badacza, który opisał tzw. krzywą dzwonową, znaną również pod pojęciem rozkładu normalnego. Ale po kolei.

Abstrahując od wpływu ideologii kopiu-wklej, plagiat to także wynik lenistwa, lekcewagi i ogólnego obniżania standardów. To oczywiście żadne odkrycie. Skąd jednak samo lenistwo i lekcewaga? Będę brutalny, choć zapewne – ponownie – mało odkrywczy: z urynkowania (po pierwsze) i zdemokratyzowania (po drugie) procesu edukacji. Wolno uczyć się, więcej, wolno przyozdobić się dyplomem każdemu, jeśli tylko ktoś gotów jest za to zapłacić. I nie ma w tym założeniu nic złego. Jest ono zgodne z konstytucją i ogólnie panującą filozofią równych szans. Problem jednak w tym, że rynek najwyraźniej pogubił w tym rozgardiaszu zdrowe proporcje. Owe konwulsyjne podrygi rynku można obserwować każdorazowo w okresie matur, kiedy to media prześcigają się w typowaniu najbardziej obleganych kierunków. Za mojej matury było to prawo. Kto żyw – do palestry. Gdy studiowałem, renesans przeżywało zarządzanie. Był to zryw tak szaleńczy, że do dziś jeszcze mam okazję wysłuchiwać przy takiej czy innej okazji ironicznych utyskiwań prezesów czy dyrektorów, że każdy w tym kraju chce zarządzać,

choć nie ma kim. Obecnie rzesza abiturientów oblega filologię norweską. Wiedzą coś, o czym reszta nie wie?

Ortega y Gasset powiedziałyby, że to podręcznikowa „masa”. Niekoniecznie może zbuntowana (zbuntowana będzie – jeśli wierzyć analitykom – po dyplomie), ale masa. Masa danego roku szczerze zawiera prawu, innego roku medycynie, kiedy indziej przekonana jest, że nic lepszego nad – tu kolejna nowość – lingwistykę menadżerską. Brak w tych zachowaniach logiki, jest za to umasowiony zapał i pęd. Zapał do podwyższania swojego statusu i pęd do wywalczenia większego kawałka tortu. I jak to bywa w tłumie, nikt nie śmie zakwestionować umasowionych racji. Innej drogi do jakotakiego życia jak poprzez studia nie uruczysz. Praca, za przeproszeniem, fizola stała się hańbiącą, godna imigranta ze Wschodu, wszyscy mienią się za to, co najmniej, administratorem, przedsiębiorcą, w najgorszym razie, jednoosobowym zarządem we własnej firmie. Przykład? Oczekiwania świeżo upieczonych absolwentów co do wysokości pensji po studiach oscylują wokół 4000-5000 zł netto, co – opowiadają mi o tym znajome osoby piastujące stanowiska menadżerskie – jest prawdziwą bolączką sektora małych i średnich firm. Ów pęd i rewolucyjna zmiana przekonań odnośnie swojego potencjału, w przypadku takiej edukującej się masy rozbić się jednak musi o bezlitośnie niewzruszoną zasadę, wspomnianą wcześniej krzywą Gaussa.

Umówmy się – standardom wyższej uczelni nie sprosta każdy, choć każdy może by i chciał. Krzywa Gaussa z chłodną matematyczną obojętnością uświadamia nam, że wszędzie w przyrodzie (a przecież ponowoczesne społeczeństwo i kultura kopiuj-wklej to również element kosmicznego ładu) mamy do czynienia z niewielką ilością przypadków pod dowolnym względem wybitnie doskonałych, jak i wybitnie ułomnych. Cała reszta oscyluje z kolei w okolicach przeciętnych, letnich. Może nie wadliwych, ale – jak rzekłby Fryderyk Nietzsche – lichych... I nie ma co się na to oburzać, świat już tak jest urządzony.

System edukacyjny, jako kolejny element kosmicznego ładu, funkcjonujący w ramach przeciętnego, rozwiniętego kraju odpowiada rozkładowi krzywej Gaussa. Stosunkowo nieduży procent społeczeństwa nie posiada żadnego wykształcenia, nieco więcej ma wykształcenie zawodowe lub podstawowe, największy procent wykształcenie średnie, dyplom uczelni wyższej zarezerwowany jest znowuż dla mniejszości. Ale prawidłowość ta – za sprawą szaleńczych koniunktur – zmienia się. Obecnie niemal cała krzywa Gaussa myśli o pójściu na studia. Powstają więc jak grzyby po deszczu szkoły wyższe, wśród których można nakreślić kolejną krzywą Gaussa: od elitarnych, poprzez całą masę ośrodków zupełnie przeciętnych, aż do szkół pogardliwie zwanych „wyższymi szkołkami smażenia naleśników”. I krzywa ta odbija się również w podejściu do zdobywania wyższego wykształcenia: uczciwie zakuwać będzie mniejszość. Równie nieduży procent utknie w stadium „wiecznego studenta” kulając się przez dziesięciolecia po akademikach. A średniacka większość będzie, jak to w życiu, kombinować.

Nie ma więc sensu załamywać rąk nad lenistwem i lekceważeniem. Tu działa matematyka i kosmos. Plagiat to nie żadne świadectwo upadku obyczajów. Przekręty, kombinowanie, łatwizna i innego rodzaju „fałszywe świadectwa” obecne były wszędzie i zawsze, z tą jednak różnicą, że – jako milcząco przyjmowany standard – niekoniecznie na uniwersytetach. Średniackiej, letniej, umasowionej większości po prostu nie stać na sprostanie standardom nauczania wyższego, zarezerwowanego niegdyś dla intelektualnej elity. Nie stać jej na to niekoniecznie z przyczyn intelektualnych, ale właśnie charakterologicznych. Dlaczegoż zakładać, że przyzwoitość, uczciwość, dokładność, siła woli i inne cnoty konieczne do przebrnięcia przez studia były niegdyś udziałem większości, a dopiero teraz o nich zapomniano i dopiero dziś standardy lecą na

łeb, na szyję? Rzekłbym raczej, że owa większość dostosowuje się do panujących na wyboistym terenie warunków niczym ciecz poddana ograniczeniom własnej fizyki oraz prawu powszechnego ciężenia: obierze najkrótszą drogę.

W moich literackich wypadach zamarzyło mi się ostatnio powrócić do lat chłopięcych, rozmiłowałem się przeto po uszy w prozie klasyka *science fiction*, Herberta Geore'a Wellsa. Ten na swój sposób, można chyba tak rzec, filozof społeczny, niezachwianie roztacza perspektywy idylli, w których podstawą ładu jest podział pracy respektujący – jakże by inaczej – Gaussowską krzywiznę. Nie wszyscy nadają się do wszystkiego. Niekiedy bywa to podział tak głęboki i radykalny, że aż przekładający się na fizyczną odmienność osobników. Doskonała równowaga świata przyszłości („Wehikuł czasu”) zapewniona jest dzięki spijającym śmietankę Eloiom (w zamyśle Wellsa udoskonalonym ewolucyjnie, nielicznym klasom próżniaczym) i harującym w pocie czoła kanibalom-Morlokom (dominującym klasom robotniczym). W innym miejscu naród księżycowych owadów Selenitów („Pierwsi ludzie na księżycu”) to z kolei mrowie bardzo zróżnicowanych form przystosowanych do wykonywania jednego i tylko jednego zadania z przewodzącym im „Wielkim mózgiem”. W inspirowanej teorii wszechświatów równoległych powieści „Ludzie jak bogowie” kwestia podziału pracy wedle zdolności i chęci powraca z żelazną konsekwencją. Można się oburzać i w lewicującym nieco duchu stwierdzić, że Wells epatuje ideami typowymi dla zgniłej dziewiętnastowiecznej burżuazji optującej za podtrzymaniem społecznego *status quo*, ale jak by nie było, w twierdzeniach tych tkwi całkiem spore ziarno prawdy. Terror merytokracji, jaki towarzyszy nam obecnie, który wszystkim naokoło wmawia, że bez studiów ani rusz, mija się z celem. Na rynek trafia całe mrowie dyplomowanych bezrobotnych, którzy nierzadko jeszcze na studiach twierdzą z przekonaniem, że uczą się po pierwsze – bzdur, po drugie – dla samego papierka. Nauka zatracą swój ekskluzywny charakter, a staje się odpowiedzią na zawyżone wymagania rynku. Zgodne jest to z duchem współczesnego liberalizmu, który zakłada, że wszyscy jesteśmy równi, a zatem, że jest sens w umasowieniu szkolnictwa wyższego. Fakty płynące z ogródka nauk ścisłych, biologii ewolucyjnej zwłaszcza, choć skrajnie niepopularne, mówią jednak coś dokładnie odwrotnego: nigdy nie byliśmy i nie jesteśmy równi. Różnimy się między sobą pod każdym względem, w tym również pod względem pozycji na skali praca twórcza-praca odtwórcza. I różnice te również – a to niespodzianka – dadzą się opisać przy pomocy Gaussowskiej krzywej. Mało wybitnych i mało kalekich. Mrowie przeciętnych. Jedni są lepsi w teorii, inni w praktyce, jedni mają charyzmę, inni nie itd. Genetycy behawioralni, mający za sobą dziesięciolecia eksperymentalnej praktyki, powiedzą nawet więcej: im dalej posuwamy się w latach, tym bardziej nasze genetyczne dziedzictwo dochodzi do głosu. Im dalej w lata, im głębiej w pokolenia, tym rozkład normalny bardziej nieugięty. Nabywane doświadczenie i bilans socjalizacji z biegiem lat nawet tracą a nie zyskują na znaczeniu i coraz łatwiej wyłazi z nas to, co wrodzone, a nie wyuczone.

Nie oznacza to rzecz jasna, że masowe szkolnictwo wyższe jest bez sensu. Nie ma sensu jednak trzymanie się zawsze tych samych standardów i utyskiwanie nad jego merytorycznym poziomem. Nie ma sensu nakłanianie ludzi do działalności noszącej znamiona naukowej. W czasach urynkiowanej edukacji zapominamy, że nauka to najbardziej złożony i najbardziej – jak dotychczas – niezawodny sposób myślenia i porządkowania zjawisk, jaki w historii gatunku ludzkiego w ogóle wypracowano. Nauka i jej standardy to nasze *opus magnum*, którego tajniki nie są i nigdy nie będą jednakowo przejrzyste dla wszystkich. Rodziło się owo dzieło w bólach przez wieki i na ogół było udziałem zaledwie garstki, nie zaś buntującej się masy. To garstka robiła badania,

stawiała hipotezy, wyciągała wnioski, pisała prace. Ten schemat wymaga niebywałego wysiłku i nieprzeciętnych zdolności. Czy nie jest szaleństwem (a przynajmniej krótkowzrocznością) stosować te procedury i wymogi względem garnącego się do nauki tłumu?

Być może warto przededefiniować sam sens szkolnictwa wyższego? Może warto nadać mu rolę systemu przygotowującego do wykonywania określonych czynności, zawodów, jednak z pominięciem elementów, które w tym kontekście są absolutnie bezcelowe jak samodzielne badania? Szkoła wyższa wraz ze swoim umasowieniem staje się niczym więcej aniżeli kolejnym etapem szkolnictwa powszechnego z tą jedynie różnicą, że formalnie nie jest ona obowiązująca jak podstawówka. Zawyżone wymogi rynku powodują jednak, że de facto staje się ona obowiązkowa dla większości i większość ta zaszczepia na jej gruncie prawidła funkcjonowania typowe dla podstawówek. O ile jednak w podstawówkach niegdyś kładło się belfrom na krzesłach pinezki, tak teraz – już na uniwersytetach – będzie się profesorów robić w konia prześlizgując się przy okazji na granicy prawa.

Fasadowy charakter wyższego wykształcenia doskonale przejawia się nie tylko w samym sposobie nauki uprawiania przez jej przyszłych adeptów, ale przede wszystkim, w ich trybie życia. Liźnięcie nauki w żaden sposób nie przekłada się na zaszczepienie określonych wartości. Choć szkoły wyższe pojawiają się w tempie wykładowym, nie idzie za tym wzrost inteligenckich wartości klasy średniej. Choć poziom życia rośnie i można mieć nadzieję, że klasa średnia w Polsce faktycznie zaczyna się umacniać, ilości czytanych książek spadają a wiedza ogólna o świecie kuleje. Nie jest to tylko polska przypadłość, nie ulega jednak wątpliwości, że szkolnictwo wyższe zatracą już ekskluzywny charakter i już dawno przestało być elitarne.

Nie jestem przeciwnikiem społeczeństwa równych szans, jestem za to zwolennikiem rozsądku. Wielokrotnie przytaczany przeze mnie wcześniej Stanisław Lem mawiał, że nim skorzystał z Internetu nie wiedział, że na świecie jest tylu idiotów. Złagodźmy to ostre twierdzenie i pomówmy przez chwilę nie o idiotach, a o laikach. Masowe komunikowanie czyni z owych laików znaczącą siłę polityczno-ekonomiczną. Laik na Facebooku potrafi się zintegrować i zaopiniować wszystko. Potrafi wyrzucić niektórych ludzi z posad, innym te posady przywrócić. Rynek, gospodarka, popkultura i polityka boją się zorganizowanych laików jak ognia, wsłuchują się w ich głos. Zaryzykowałbym wręcz tezę, że w dobie Internetu świat gra tak, jak im zorganizowany laik zagra. Ale to droga donikąd. Laik nie potrafi ocenić swoich szans nabywczych, potrafi się więc masowo zadłużyć skutkiem czego będziemy mieć kryzys. Laik wierzy w zysk bez ryzyka, będzie więc psuł rynek popytem na lokaty z horrendalnie wysokim oprocentowaniem (głosy prezesów o zaprzestaniu wojen na oprocentowanie są nieliczne, choć znaczące). Laik da się wyprowadzić łatwiej w pole i słysząc o szalejących cenach cukru co sił pobiegnie zrobić zapas, skutkiem czego ceny te jeszcze bardziej wywinduje. Laik nie potrafi odróżnić demagogii od argumentacji, miast idyllicznej demokracji będziemy mieć zatem targaną konwulsjami kampanii wyborczych ochlokrację. Laik na ogół wie niewiele i trudno go za to winić. Wie za to jedno: dziś, jak nigdy wcześniej, jest klientem. Płaci – wymaga. Wie, że etyka hiperkapitalizmu każe producentom schlebiać mu i jeść z ręki. Niewidzialna ręka rynku staje się dziś jednocześnie ślepą siłą, która gnana chęcią zysku we wszystkich sferach – również tych od presji rynku niegdyś wolnych (np. nauki) – uderza bez opamiętania. Bo – według laika – cel uświęca środki. Sądzę, że w społeczeństwie zdominowanym przez wpływ zintegrowanych laików struktury regulujące jego działanie dopiero się kształtują. Społeczeństwo masowe jest nowością, której skutków nie sposób przewidzieć. Jednym z

bardzo wielu jest m.in. zatrważająca ilość plagiatów. Mimo to wierzę, że rozsądek zatriumfuje. Krzywa Gaussa powróci prędzej czy później do swego właściwego kształtu i obecnie panujące standardy wrócą niebawem do swoich określonych poziomów. Plagiat zostanie w odpowiedni – nie wiem jednak jaki – sposób zweryfikowany.

Zdemokratyzowana edukacja musi wypracować określone zasady. Plagiat – jak na razie – jest świadectwem porażki założeń społeczeństwa równych szans. To przyzwolenie na kradzież. To smutna prognoza poziomu fachowców, którzy dzięki „papierkowi” zdobędą kiedyś stanowisko w firmie, której każdy z nas ma szansę stać się klientem. Skóra cierpnie na myśl o poziomie usług. Obok postulatu równych szans, współczesne szkolnictwo wyższe winno wyrycić sobie złotą czcionką w sercu pamiętne hasło *nota bene* niedysyjszego ministra edukacji: zero tolerancji. Zero tolerancji dla kombinowania. Inaczej ta inwestycja nie zaprocentuje. Ale to dopiero pierwszy krok, droga jest bardzo długa i obejmuje całą mentalność. Przypomina mi się historia polskiego studenta, który w ramach programu stypendialnego Sokrates wyjechał na Zachód. Przyszła sesja, a więc starym zwyczajem, przyobleczony od stóp do głów w ściągę, poszedł na egzamin. Pisząc test posiłkował się swoim wsparciem merytorycznym. Widząc to studentka z zagranicy oświadczyła bez pardonu: „to jest zabronione. Schowaj to albo będę musiała to zgłosić i wylecisz ze studiów”. Schował. I nikt nie przypiął jej łątki kapusia.

Lata temu widziałem kiedyś na ścianie szkoły nasmarowany napis, w którym znaną zasadę trzech „zet” poszerzono do czterech: zakuć, zdać, ZAPIĆ, zapomnieć. *O tempora, o mores!* Osiedlowej łobuzerii jak zwykle w głowie tylko kolejne okazje do osuszenia butelki!

A ja jednak myślę, że co w tym pocie czoła i wbrew sobie zakuli – to ich. I nawet jeśli zapili, to niekoniecznie zapomnieli.

Tomasz Kozłowski, socjolog, adiunkt Katedry Socjologii Poznańskiego Kampusu Akademickiego Wyższej Szkoły Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa i Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Autor „Kłamię, więc jestem” i współautor „Nagiej małpy przed telewizorem”. Do wydania jego trzeciej książki „Samotny hulaka. Rzecz o proto-kulturze ery pop” przygotowuje się krakowskie wydawnictwo naukowe „Universitas”.